

## Jelenia Góra na Głównym Szlaku Sudeckim

Kto z prawdziwych turystów nie myślał o przejściu całych Sudetów? Chyba nie ma takiej osoby. Ja myślałem o tym od czasu, kiedy zdobyłem pierwszy stopień Górskiej Odznaki Turystycznej. Niestety, do tej pory jakoś nie było czasu na tak długą wyprawę. Bo Główny Szlak Sudecki prowadzący przez całe Sudety, od Świeradowa Zdroju do Prudnika mierzy 444 kilometry. Dużo to czy mało? Dużo, powiedziałbym nawet, że bardzo dużo. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę kilometry przewyższeń, różnorodność nawierzchni, ale także, a może przede wszystkim, pogodę. Bo inaczej się chodzi po górach gdy świeci słońce, a inaczej gdy pada deszcz. O zimie nie wspominać, bo to już jest trasa ekstremalna. My natomiast mamy, wyruszając na tak długą trasę, patrzeć na nasze bezpieczeństwo. Chodzi o to by powrócić do domu całym i zdrowym. W końcu są to góry i wszystko może się tam przytrafić. Trzeba zatem przygotowania do takiej wyprawy rozpocząć od logistyki. Musimy rozplanować etapy przejścia tak, by mieć gdzie przenocować. Musimy zadbać o odpowiednie odzienie i wyposażenie, o żywności już nie wspomnę. Trzeba pamiętać, że cały zabraną do plecaka sprzęt będziemy musieli nosić na barkach przez minimum dwa tygodnie. Tyle bowiem, w najlepszym razie, trwa przejście takiego szlaku. Najczęściej jednak chodzący nim turyści zużywają na to 18 dni, taki bowiem jest wymóg regulaminu by zdobyć odznakę brylantową GSS-u. Ci, którzy nie podołają wyzwaniu zdobywają trzy pozostałe stopnie odznaki: brązowy, srebrny i złoty. Wtedy czas nie ma tu specjalnego znaczenia.

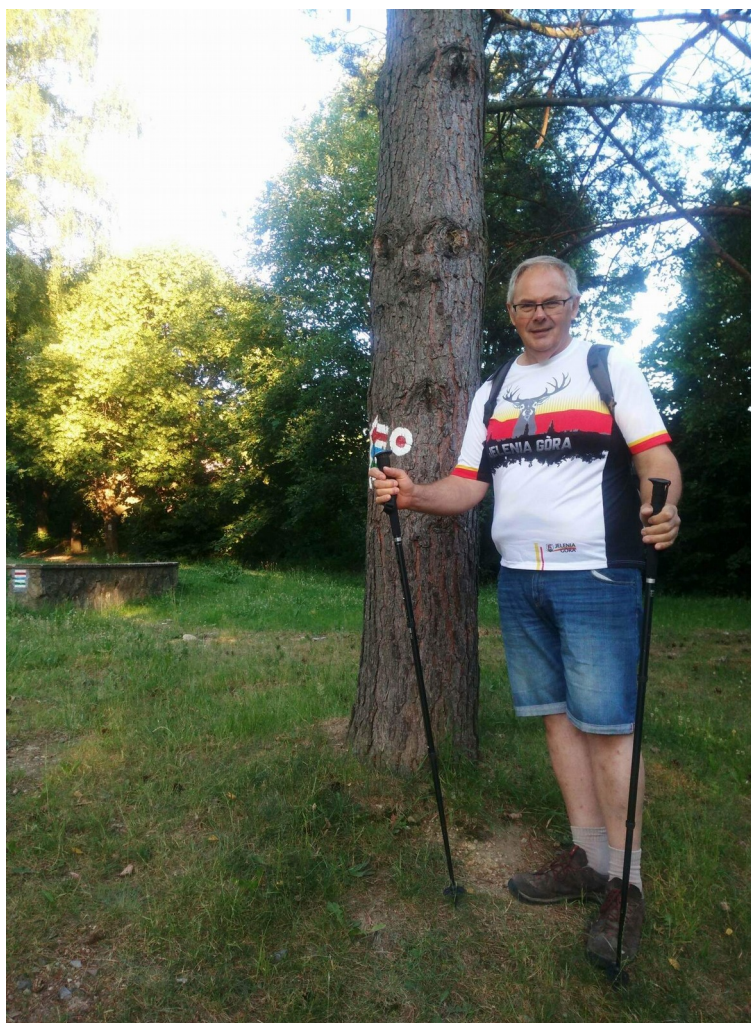


Foto: Paweł Wojtczak

Jak już wspomniałem zawsze brakowało mi czasu by wyruszyć na trasę. Tym razem udało się. Dostałem w pracy wolne i mogłem spróbować swoich sił na tak długim przejściu. Ponieważ dbam o wizerunek mojego miejsca zamieszkania, podjąłem decyzję by moje przejście połączyć z promocją regionu. Dlatego wyruszając w trasę udałem się do prezydenta miasta Jelenia Góra, pana Jerzego Łuźniaka, i poprosiłem o przekazanie mi koszulek z logo miasta. Chciałem całą trasę przejść w takiej właśnie koszulce. Dzięki przychylności urzędników magistratu otrzymałem koszulki w różnych rozmiarach. Miałem zamiar obdarowywać nimi wszystkich, którzy po drodze przyłączyli się do mnie by przejść ze mną chociaż kawałek trasy. Dodatkowo z wydziału promocji dostałem torbę z różnymi gadżetami. Wszystko, jak łatwo się domyśleć, rozdałem w ciągu pierwszych kilku dni wędrówki. To dobrze bo mój plecak stawał się coraz lżejszy.



*Foto: Paweł Wojtczak*

Na trasę wyruszyłem 29 czerwca 2019 roku. By nie było zbyt monotonię, od razu, od pierwszego dnia zaczęły przytrafiać mi się różne przygody. Na początek, gdy żona odwoziła mnie i Pawła, który postanowił towarzyszyć mi pierwszego dnia, zostawiłem swój telefon w samochodzie, co skutkowało tym, że nie mogłem robić dokumentacji fotograficznej. By ograniczyć ciężar bagażu nie wziąłem z sobą normalnego aparatu fotograficznego, który waży dużo więcej niż telefon. Na szczęście mój towarzysz udokumentował nasz pierwszy dzień i użył mi swoich zdjęć.

Wracając jednak do samej trasy, początek Głównego Szlaku Sudeckiego znajduje się w Świeradowie Zdroju. To tam jest namalowane białe kółeczko z czerwoną kropką. Przed nami, jak już wspomniałem, 444 kilometry drogi. W zasadzie od razu poczuliśmy, że jesteśmy w terenie górskim. Podejście do schroniska „Na Stogu Izerskim” nieźle dało się nam we znaki. Przecież temperatura dochodziła wtedy do 38 stopni w cieniu. A my wcale nie szliśmy w cieniu.

Ponieważ ruszyliśmy o 6 rano wcale się nie zdziwiliśmy, że w schronisku jeszcze śpią. Byliśmy na to przygotowani. Przejście przez Góry Izerskie zawsze należy do przyjemnych, mimo swojej długości. Aby dotrzeć do Szklarskiej Poręby trzeba przejść niemal 30 km. Tym jednak razem trafiliśmy na spore

utrudnienia. Okazało się, że właśnie tego dnia rozgrywano jakieś zawody rowerowe i oczywiście na trasach były dosłownie setki rowerzystów pędzących ile sił w nogach. Wcale im nie przeszkadzali piesi idący swoimi szlakami. Niestety zmuszeni byliśmy do ciągłego uważania czy przypadkiem ktoś nie wjedzie nam na plecy. Straciliśmy przez to sporo czasu i sama wędrówka nie była już tak przyjemna jak na początku.

W końcu udało nam się, po odpoczynku w schronisku na Wysokim Kamieniu, zejść do Szklarskiej Poręby gdzie zakończyliśmy pierwszy dzień przejścia.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

Drugiego dnia, w niedzielę, czekało nas niezłe wyzwanie. Niestety, osoba mająca mi towarzyszyć rozchorowała się i na trasę ruszyłem sam. Tym razem do przejścia miałem całe pasmo Karkonoszy, nie chciałem bowiem nocować w górach. Samo podejście do Kamieńczyka, choć mało komfortowe, poszło sprawnie. Tak jak wczoraj, w schronisku wszyscy spali. Mało tego, kiedy dotarłem do schroniska Na Hali Szrenickiej tam też jeszcze spali. W takiej sytuacji nie było sensu zbaczać do schroniska Na Szrenicy. W sumie, mimo gorąca, szło się tak lekko, że nawet nie wiem kiedy dotarłem do przełęczy na Śnieżnych Kotłach. Jak do tej pory zauważyłem, w górach jest pusto. Prawie nie spotykam turystów. Dopiero kiedy podążałem na Przełęcz Karkonoską zaczęli mijać mnie spacerowicze. Nie wiem tylko czy więcej było ludzi czy psów biegających tam i z powrotem.

W sumie fajnie się szło, może trochę monotannie, ale cały czas posuwałem się do przodu. Jednak gdy dotarłem do Czarnej Przełęczy musiałem na chwilę przystanąć. Ktoś założył koszulkę na pomnik Kalmana. Prawdopodobnie uczynił to w zimie, bo nie była ona pierwszej świeżości. Nie mniej warto było upamiętnić taki widok. Nieco dalej mogłem uznać, że w dniu dzisiejszym jestem mieszkańcem Jeleniej Góry, który znajduje się w jej najwyższym miejscu. Dotarłem bowiem do Czeskich i Śląskich Kamieni przez Czechów nazywanych Mužske i Divči Kameny.

Teraz po zobaczeniu postępu na budowie schroniska Petrovka i odpoczynku w schronisku Odrodzenie pozostało mi tylko podejść do skał obecnie znanych jako Słonecznik. Nie zawsze jednak tak było. Dawniej nazywano je inaczej. Po II wojnie światowej były to Głazy Tetmajera, a w czasie wspomnianej

wojny, z okazji urodzin Gerharta Hauptmanna – laureata literackiej nagrody Nobla, nadano im jego imię.

Tuż obok znajduje się, może nie ładna, ale ciekawa kamienna ławeczka RGV. Zbudowana przez organizację, której inicjały wyryto na niej, od lat służy za punkt odpoczynku z którego roztaczają się wspaniałe panoramy.

Przy ławeczce spotkałem małżeństwo z dziećmi, które przyjechało w Karkonosze na odpoczynek. Wszystko było dla nich wyjątkowe. Ponieważ chcieli oni wracać do Karpacza tą samą drogą, którą przyszli, namówiłem ich by dalej poszli ze mną. Po drodze opowiedziałem im o Karkonoszach, o nieistniejącym schronisku księcia Henryka, i w końcu pokazałem jak mają pójść, by przez Strzechę Akademicką wrócić do miasta. Po tym jak mi dziękowali, widać było, że Karkonosze jeszcze bardziej im się spodobały. Oczywiście dostali ode mnie drobiazgi, które niosłem na takie okazje w plecaku.

Gdy wreszcie dotarłem na Równię pod Śnieżką przez chwilę zastanawiałem się czy jednak nie zboczyć ze szlaku i nie wejść na Śnieżkę. Dziwnym jest bowiem, że Główny Szlak Sudecki nie prowadzi przez najwyższy szczyt Sudetów.

Tak naprawdę to nie ma się co temu dziwić, gdyż GSS był wytyczony w roku 1947, a wtedy każdy pojawiający się tu turysta musiał liczyć się z tym, że napotkany Wopista po prostu go zastrzeli. To były czasy, kiedy granica była jeszcze niespokojna a w terenie grasowały bandy niemieckich oddziałów i grupy zwykłych bandytów. Dzisiaj, kiedy nie ma już granicy, może należałoby pomyśleć o zmianie przebiegu tego szlaku.

Po namyśle uznałem, że nie będę nigdzie zbaczał z trasy, gdyż w ten sposób do domu wrócę za kilka miesięcy. Ruszyłem zatem w dół Kotleń Łomniczki koło Symbolicznego Cmentarzyka. Minąłem miejsce, gdzie kiedyś stało schronisko. Niestety, pierwszej zimy po otwarciu zmiotła je lawina śnieżna. Nowe postawiono dużo niżej i dzisiaj znany je jako schronisko Nad Łomniczką.



Foto: Krzysztof Tęcza

W Karpaczu cieszy oko nowy budynek stacji ratunkowej wznoszony dla GOPR-u. Czekam, kiedy go oddadzą do użytku, trzymając kilka ciekawych eksponatów, które im chcę ofiarować. Dalsza droga to sama przyjemność. Nie jest już tak wysoko a i nieco chłodniej. Ciekawe miejsce na trasie to Grabowiec, gdzie znajdują się skałki o nazwie Ostra Mała. Tak, Ostra Mała. Tak samo jak przy Skalniku! Najlepiej jednak, jeśli się chce odpocząć, stanąć na Patelni. Znajduje się tam Czakram. Nie należy jednak odpoczynku przeciągać, gdyż w nocy nie jest tu przyjemnie. Dawniej było to miejsce w którym odbywały się sabaty czarownic.

W Mysłakowicach znajduje się wielki głaz a właściwie dwa. Pierwszy poświęcony Donatowi, założycielowi RGV, drugi Mieczysławowi Orłowiczowi, działaczowi PTTK-owskiemu. To właśnie jego imię nadano GSS-owi. Nieco dalej mijamy pałac będący kiedyś letnią rezydencją królów pruskich. To tam przeniesiono pomnik Johanna Fleidla, który przyprowadził z Tyrolu uchodźców religijnych.

Drugi dzień wędrówki zakończyłem w Bukowcu, miejscowości w której hrabia von Reden kazał swojemu ogrodnikowi stworzyć założenie romantyczne. Park ten był tak piękny, że stał się wzorem do naśladowania dla okolicznych właścicieli ziemskich.

Poniedziałek zapowiadał się równie ładnie jak poprzednie dni. Chociaż jak się później okazało powiedzenie „nie lubię poniedziałków” wcale nie jest takie bezzasadne. Najpierw, gdy tylko wszedłem na teren obsługiwany znakarsko przez Oddział PTTK Kamienna Góra, okazało się, że utrzymanie szlaków nie jest już na takim poziomie jak na terenie obsługiwany przez Oddział „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Później okazało się, że dalsza trasa jest miejscami tak zarośnięta, że trudno się przedrzeć przez zarośla. Do tego gołym okiem widać, że ostatnie odnawianie szlaku miało miejsce lata temu. A na każdym skrzyżowaniu trzeba dobrze się nagłówkować by dociec którądy mamy iść dalej.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

Na szczęście, na Ostrej Małej zachowały się stare barierki co pozwala na bezpieczny odpoczynek połączony z podziwianiem krajobrazu. Teraz szybkie zejście do Czarnowa i znowu wspinaczka, tym razem na Liściastą. A tam niespodzianka. Gdy plumknął mi telefon okazało się, że to ostrzeżenie o burzach i opadach. Chciałem na to machnąć ręką, ale zanim to uczyniłem zaczął padać deszcz.

Jak na złość nie było się gdzie schować. Po chwili coś walnęło mnie w głowę. I ponownie. Okazało się, że zaczął sypać grad o kulach wielkości żołędzi. Już dawno tak nie przemokłem. Cała nawałnica trwała może z dziesięć minut. Niestety była tak wielka, że górskie ścieżki zamieniły się w koryta, którymi płynęły rwące strumienie wody. Trudno było wejść na szczyt. Ale „najlepsze” było jeszcze przede mną. Gdy zacząłem schodzić do Szarocina poślizgnąłem się i runąłem jak długi. Jak wreszcie się pozbierałem cały ociekałem błotną mazią. Coś niesamowitego. Nie było wyjścia, trzeba było myśleć o zakończeniu poniedziałkowego etapu. Dotarłem tylko do Lubawki i dałem za wygraną.

Wtorek zaczął się nawet ciekawie. Najpierw, na prośbę kolegi Jacka, poszukiwałem na cmentarzu w Lubawce grobu zmarłego kilka lat temu przewodnika. Niby prosta sprawa, ale mimo pomocy kilku osób przebywających akurat na cmentarzu zajęło nam to sporo czasu. W końcu się udało.

Teraz krótki spacer do Krzeszowa. Znowu okazuje się, że szlak jest w bardzo złym stanie. Na pocieszenie, w miejscowości Betlejem trafiam na ślady jeleniogórskie. W zaroślach wypatruję kamienną płytę w kształcie dzika. Na niej napis: Wojskowe Koło Łowieckie „Odynec” Jelenia Góra. Tuż przed wejściem do Krzeszowa widzę ścieżkę rowerową wykonaną na nasypie kolejowym. Przez myśl mi przeszło, że inni mogliby się uczyć od wykonawcy tej ścieżki. Po prostu chce się wziąć rower i pojechać nią.

Wkrótce mogłem nacieszyć się widokiem budowli, wykonanych w najładniejszym stylu jakim był barok. No, ładniejszy był tylko jego schyłek, zwany Rokoko. Bazylika krzeszowska to prawdziwe dzieło sztuki. Nawet nie trzeba specjalnie wpatrywać się w szczegóły. Sam widok budowli już wprawia w zachwyt.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

Jednak nie mam czasu na to, by zbyt długo zachwycać się tym widokiem. Muszę iść dalej. Pnę się pod górę, do kaplicy św. Anny by dotrzeć do Grzęd i dalej do Sokołowska. To długi odcinek wymagający sporego wysiłku. Samo Sokołowsko to podupadłe dzisiaj uzdrowisko. Niestety, tak to już jest. Najbardziej podobało mi się gdy, widząc prace budowlane na drodze, zapytałem dwie starsze panie siedzące w ogródku o drogę. Pierwsza, bez namysłu odpowiedziała żebym poszedł w lewo. Druga zaraz dodała: ale ta droga w prawo też jest dobra. Zapytałem zatem, która droga będzie

wygodniejsza. Pierwsza krzyknęła: ta w lewo. Druga zaraz dodała: ta w prawo. No i co miałem zrobić. Poszedłem za radą pierwszej pani. W sumie okazało się, że po kilku kilometrach obie drogi ponownie się połączyły. I tak dotarłem do schroniska Andrzejówka. Tam spotkałem młodego turystę, który mijął mnie nieco wcześniej. W pewnym momencie on zszedł ze szlaku idąc prosto i pomyślałem sobie, że idzie na skróty, ja poszedłem szlakiem w lewo. Teraz okazało się, że on się zagapił i zszedł ze szlaku a później nie chcąc wracać przedzierał się przez las.

Tymczasem pan za ladą poinformował mnie, że bufet już nieczynny i nie dostanę nic ciepłego. Trudno, przeżyję, pomyślałem sobie. Jednak gdy skończyłem rozmawiać z moim nowym znajomym, zza ludy doszło do mnie: a to ty jesteś z trasy, idziesz pieszo. To co innego, zaraz zagrzejemy ci supę. No i zrobiło się całkiem przyjemnie. Z noclegiem nie było najmniejszych problemów.

W środę chciałem dojść do kolejnego schroniska, położonego poniżej Przełęczy Jugowskiej w Górach Sowich. Według mapy było to całkiem realne. Jak się jednak okazało, wcale nie było tak łatwo. Najpierw miałem kilka podejść na dosyć strome szczyty, później zejście tak wymagające, że niemal zjechałem z niego. Do tego, jak się okazało, część trasy była tak zarośnięta krzakami, że trzeba było je rozgarniać by zrobić chociaż jeden krok do przodu. Szkoda, że nie miałem z sobą maczety.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

To jednak wcale nie był koniec przykrych niespodzianek. Gdy podchodziłem do zamku Rogowiec natrafiłem na taśmy zagradzające dalszą drogę. Były one porozwieszane niemal na każdym skrzyżowaniu leśnych dróg ze szlakiem którym podążałem. Z napisów na umieszczonych tabliczkach dowiedziałem się, że taśmami wytyczono kierunek jazdy dla rowerzystów. Nie rozumiem tylko dlaczego nie pomyślano o piechurach. Przecież, nawet według kodeksu drogowego, pieszy ma pierwszeństwo, zwłaszcza gdy korzysta z dróg wytyczonych specjalnie dla niego. Na szczęście wkrótce dotarłem do Jedliny Zdroju i wspomniane niedogodności skończyły się.

Przede mną podejście pod Masyw Włodarza i dosyć długie zejście na Przełęcz Sokolą. Tym razem nie było już żadnych niespodzianek. Dotarłem do miejsca w którym, jak pamiętam gdy nocowałem tam pod koniec ubiegłego wieku, miało miejsce trzęsienie ziemi, którego skutki były odczuwalne aż tutaj.

Przedemną podejście na Wielką Sowę. Niby niedłgie, jednak tak strome, że po chwili ma się dosyć wspinania i z chęcią korzysta z miejsca wypoczynkowego by się posilić i nabrać chęci do dalszej wędrówki. Zachęcająco wygląda Chata pod Sową, przed którą ustawiono wielką beczkę do przechowywania piwa czy wina. Dzisiaj jest ona w takim stanie, że pewnie nic by się w niej nie uchwyciło, ale dawniej musiała wzbudzać w turystach chęć zejścia ze szlaku właśnie do tego lokalu. Skorzystałem z miejsca odpoczynku przygotowanego nieco wyżej, przy Piwnicy pod Sową. Jak się okazało dobrze postąpiłem, gdyż kolejne a zarazem ostatnie schronisko przed szczytem (Sowa) było nieczynne.

I wreszcie udało się. Wszedłem na Wielką Sowę, najwyższy szczyt Gór Sowich. A tam prawdziwy raj. Bufet z lodami i różnego rodzaju przekąskami. Najważniejsza jest jednak wzniesiona tutaj kamienna wieża widokowa. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy jedynym dostępnym tu napojem była woda z sokiem malinowym, zaczerpnięta z wiadra, którą za niewielką opłatą serwował pan obsługujący wejście na wieżę.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

Muszę powiedzieć, że tak przyjemnie nie szło mi się do tej pory jak teraz, podczas zejścia z Wielkiej Sowy w kierunku Przetęczy Jugowskiej. Po drodze zapoznałem się z treścią tablicy umieszczonej na Niedźwiedzych Skałach poświęconej Hermannowi Henklowi, twórcy systemów szlaków turystycznych i autorowi map turystycznych. Dodam tylko, że to nie jedyne w tych górach upamiętnienie tego wielce zasłużonego dla rozwoju turystyki człowieka. Jego imieniem nazwano w roku 1938 schronisko, obecnie znane jako Zygmuntołówka.

I właśnie to schronisko było moim kolejnym celem. To tam chciałem przenocować. Początkowo trochę się obawiałem w jakim stanie znajduje się ten obiekt, pamiętam bowiem stan obiektu z okresu kiedy spałem w nim ostatnio. Ku mojemu zaskoczeniu schronisko zastałem w bardzo dobrym stanie. Wszystko wyremontowane i odnowione, obsługa bardzo miła. Dodam, że zarówno tutaj jak i w poprzednim obiekcie honorowano zniżki przysługujące członkom PTTK z opłaconą składką członkowską. Warto zatem nosić legitymację z sobą. Trzeba tylko pamiętać, że w większości obiektów Towarzystwa chodzi się w obuwiu zamiennym, gdyż teraz każdy agent dba by w jego obiekcie było czysto i schludnie. Jedynym mankamentem jest fakt, że przeważnie płatności są realizowane tylko



w gotówce. Dodam tylko, że ponownie spotkałem młodzieńca, z którym poznałem się na trasie. A do tego spotkałem kolejnego, który tak jak ja, podążał Głównym Szlakiem Sudeckim i to w tym samym kierunku. Niestety nie mogliśmy iść razem, gdyż wskutek odniesionej kontuzji musiał on skracaćienne przejścia by nie sforsować kolana.

Czwartkowy odcinek trasy zapowiadał się jako dosyć wymagający. Według mapy przede mną były ciągłe podejścia i zejścia. W końcu są to góry. Najpierw podreptałem na Słoneczną i Kalenicę, na której znajduje się wieża widokowa. Ponieważ jest ona zbudowana z elementów stalowych, zdecydowałem się wejść na nią. Po chwili okazało się, że nie do końca jest ona taka pewna, schody zaczęły trzeszczeć i miałem wrażenie, że trochę się kołyszą. Fakt, był wtedy duży wiatr. Warto jednak było wytrzymać by zobaczyć panoramę z platformy widokowej. Tym bardziej, że widać stąd Karkonosze ze Śnieżką.

Dalsza trasa, mimo iż serwuje nam ciągłe podejścia i zejścia, jest w zasadzie dosyć monotonna. Po kilku godzinach marszu docieram do tajemniczych murów, oddzielających głęboką suchą fosę od ścieżki po której idę. Wkrótce okazuje się, że to twierdza srebrnogórska, dzisiaj uważana za największą górską twierdzę w Europie. Zbudowano ją na rozkaz króla pruskiego Fryderyka II. Najważniejszym jest fakt, że nigdy w historii obiekt ten nie został zdobyty. Jej kres to rozkaz o likwidacji wydany w 1860 roku. Jak zwykle chodziło o pieniądze, rządu nie było stać na jej utrzymanie.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

Ja korzystając z okazji spotkałem się ze znajomą, która jest tutaj przewodnikiem. Ze względu na brak czasu nie mogłem skorzystać z zaproszenia do szczegółowego zwiedzania obiektu. Jak się wkrótce okazało była to bardzo dobra decyzja. Dalszy bowiem szlak był tak kiepsko oznaczony, że nie korzystając z elektroniki, straciłem sporo czasu by wreszcie znaleźć szlak za krzyżówką kilku dróg. Byłem tym tak wkurzony, że gdy dotarłem do pewnego ciekawego miejsca zastanawiałem się czy może na noc nie stanąć właśnie tam. Miejscem tym było „Narodowe Centrum Leczenia Wkurwienia” w Srebrnej Górze. Na szczęście, po krótkim odpoczynku przeszło mi i ruszyłem dalej. Dzięki temu szybko dotarłem do Ścinawki Średniej. Niestety, na tym etapie był to koniec dobrych wiadomości. Dalej było już tylko gorzej. Najpierw idąc przez Rozdroże w kierunku Wambierzyc, okazało się, że

pośrodku pola obsianego zbożem trafiłem na rozwidlenie dróg, gdzie według logiki widocznego oznaczenia szlaku skręciłem z prawo. Później, po jakiś dwóch kilometrach, okazało się, że to nie tak i zamiast do Wambierzyc dotarłem do Ratna Dolnego. Musiałem dreptać dwa kilometry asfaltem by ponownie wejść na mój szlak. W końcu, gdy dotarłem do dzisiejszego kresu mojej wędrówki było tak późno, że wszystko było już pozamykane. Szukając noclegu dotarłem do olbrzymiego budynku tuż przy bazylice. Był to Dom Pielgrzyma. Jak się jednak okazało, o godzinie 21 jest on zamykany na klucz i można sobie dzwonić na podany przy wejściu telefon. I tak nikt go nie odbierze. Na szczęście znalazłem jakiś nocleg. Ba, nawet w bardzo fajnym miejscu. Pani była tak miła, że dała mi kilkuzłotowy upust. Jak się bowiem okazało miałem resztki gotówki, a w miejscowości takiej jak Wambierzyc nie ma ani jednego bankomatu.

Niestety, wizyta w Wambierzycach była dla mnie nieciekawa w skutkach. Gdy następnego dnia ruszyłem w dalszą drogę mój organizm zaczął się buntować. Z każdym krokiem stawałem się coraz słabszy. Myśląc, że to chwilowe osłabienie szedłem dalej. Wszak przede mną Park Narodowy Gór Stołowych i Skalne Grzyby. Całe szczęście, że bywałem tu już wcześniej, bo dzisiaj wcale te piękne formy skalne mnie nie cieszyły. Po prostu szedłem przed siebie.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

Przed wyruszeniem z Wambierzyc zastanawiałem się nawet czy nie zboczyć z trasy i nie wejść na Szczeliniec Wielki. Ostatnio bowiem gdy tu byłem spotkały mnie same dobre sprawy. Niestety, ze względu na wspomniane kłopoty postanowiłem iść dalej. W końcu dotarłem do Kudowy Zdroju. Po krótkim odpoczynku zdecydowałem przejść nieco dalej, do Dusznik Zdroju gdzie chciałem stanąć na noc. Gdy wreszcie dotarłem, okazało się, że schronisko w którym chciałem przenocować jest nieco z boku trasy i postanowiłem iść dalej szlakiem w stronę Zieleńca, by tam szukać noclegu. W sumie dobrze zrobiłem bo z noclegiem nie było żadnych problemów. Niestety, problemy zaczęły się z moim zdrowiem.

Byłem bardzo słaby. Posiliłem się w schronisku Orlica i ruszyłem do Spalonej. Aby tradycji stało się dosyć, zaraz po zejściu z asfaltu zaczęły się problemy z oznakowaniem szlaku. Tak jak poprzednio, na każdej krzyżówce trzeba było szukać którędy iść dalej. Trudność polegała na tym, że trasa prowadziła polami i łąkami, w których trzeba było wypatrywać ledwo widoczne koleiny. Szczytem oznaczenia był

umieszczony z kilometr od krzyżówki patyk z pomalowaną końcówką na czerwono. Aby go wypatrzyć w bujnej trawie nie wystarczy sokoli wzrok. W końcu udało się. Dotarłem do schroniska Jagodna. Mogłem tam odpocząć. Niestety stan mojego zdrowia pogorszył się do tego stopnia, że musiałem rozważyć przerwanie mojej wędrówki. W końcu ruszyłem do miejscowości Długopole Zdrój, gdzie według zapewnień obsługi schroniska miał znajdować się punkt apteczny. Niestety, na miejscu okazało się, że owszem jest, ale w soboty i niedziele nieczynny. Dzisiaj była sobota i nie było szansy na zakup jakiś mocniejszych leków. To co miałem z sobą było za słabe.

W związku z tym ruszyłem dalej, mając nadzieję, że odpowiednią pomoc uzyskam w Międzygórzu. Jednak każdy kolejny kilometr był dla mnie coraz trudniejszy do pokonania. Gdy wreszcie dotarłem na stację kolejową Długopole Zdrój podjąłem decyzję o przerwaniu wyprawy. Uznałem, że będzie to najlepsze rozwiązanie. Nie chciałem ryzykować, że na dalszym wielokilometrowym odcinku, będąc sam na szlaku, załabnę i zrobię kłopot rodzinie i ewentualnym ratownikom. Wsiadłem do pierwszego pociągu jaki nadjechał, a po przesiadce w Kłodzku i Wałbrzychu po kilku godzinach byłem w domu. Jak się okazało mój organizm został przegrzany, nastąpiły oznaki początku odwodnienia i wdarł się jakiś wirus. Wizyta u lekarza potwierdziła słuszność mojej decyzji.



*Foto: Krzysztof Tęcza*

No cóż, tym razem nie dotarłem w jednym przejściu do Prudnika. Przeszedłem jednak prawie 300 km, co pozwoliło mi na zdobycie Odznaki Głównego Szlaku Sudeckiego w stopniu brązowym i srebrnym. Mam nadzieję, że za jakiś czas dokończę przejście czerwonego szlaku i uzupełnię swoją kolekcję odznak o stopień złoty.

Najważniejsze w moim przejściu jest to, że po drodze wszystkie spotkane osoby, patrząc na moją koszulkę, kojarzyły gdzie leży Jelenia Góra i wyrażały chęć przyjazdu do naszego miasta na wypoczynek. Ja zaś ze swojej strony mam nadzieję, że moja relacja, choć pobieżna, przyczyni się do chęci wyruszenia na Główny Szlak Sudecki przez kolejnych turystów. Po powrocie zadbam o to, by moje krytyczne uwagi dotyczące złego stanu oznaczenia GSS-u, dotarły do osób z oddziałów PTTK odpowiedzialnych za utrzymanie szlaku na poszczególnych odcinkach.

Krzysztof Tęcza